

Zbigniew Pędziński

Szkółka czy uniwersytet?

Z dużym uznaniem powitali wszyscy, którym rozwój i dobro naszych szkół akademickich leży na sercu, ostatnie zarządzenia w sprawie reorganizacji studiów uniwersyteckich oraz ustroju wewnętrznego szkół wyższych. Mądra idea decentralizacji nie okazała bodaj w żadnym wypadku tak wyraźnie swojej społecznej wartości i przydatności jak właśnie w tym. Właściwie rozumiana swoboda dla studentów, a zwłaszcza pracowników naukowych szkół wyższych — oto, w czym streszcza się zapowiedź nowego okresu rozwoju nie tylko naszych uniwersytetów, ale i całej nauki polskiej.

By dobrze zrozumieć, na czym polega wartość dokonanych zmian, musimy sobie uświadomić dotychczasowy konflikt między dwójakiemu rodzajowi obowiązków i zadaniami uniwersyteckich pracowników naukowych. Każdy pracownik naukowy szkoły wyższej, od asystenta do profesora, zwyczajnie musiał z jednej strony spełniać funkcje pedagogiczne i dydaktyczne wobec studentów, z drugiej zaś — swymi samodzielnymi badaniami posuwać naprzód rozwój obranej przez siebie dyscypliny. Z własnych doświadczeń studentów wiem, jak trudno połączyć w jednej osobie zamilowanie pedagogiczne i „żyłkę” twórczą, badawczą. Zazwyczaj zdarza się tak, że zamilowani w dydaktyce pedagodzy są na uniwersytecie rzadkością — tutaj bowiem większość wykładów docho- do do swoich stanowisk i tytułów naukowych zmusza i wyłożoną pracą w ciszy własnego gabinetu lub pracowni, z której niechętnie przecho- dza do sali wykładowej, czy pokoju egzaminacyjnego. Rola wychowawcza tych ludzi jest zupełnie inna, niż ta, do której przyzwyczailiśmy się obserwując prace nauczycieli szkół średnich lub podstawowych. Tamci wychowują grupy, oddziałują na większą ilość młodych serc — ci wychowują przede wszystkim jednostki, ich umysły i uzdolnienia naukowe, przygotowując do późniejszego trudnej drogi uczonego ba-

dadza. To, co w tych koryfenach nauk pociąga przede wszystkim młodzież studencką, polega w pierwszym rzędzie nie na ich przymiotach — że się tak wyrażę — „towarzystwach” (aż nazbyt często zdarzają się nie tylko wśród starszych ale i młodszych pracowników naukowych mizantropi, ludzie opryskliwi i pozornie odpychający) — ale na ich kwalifikacjach badawczych, łączących się często z surową i czystą etyką naukową. Przeznaczaniem szkół wyższych jest przygotować i wychować młode pokolenie inteligencji polskiej — każdy zaś prawdziwy inteligent odznacza się (a przynajmniej odznaczać się powinien) samodzielną myślą, pędem do zdobycia jak najlepszej i jak najobfitszej wiedzy, poszanowaniem wreszcie i uczciwością wobec poglądów innych.

Wynika z tego niedwuznacznie, że zarówno pracownik naukowy, jak i student uniwersytetu muszą mieć wiele swobody na samodzielne poszukiwania badawcze i spokojne, a do głębie doskonalenie własnych umiejętności. Niestety, w ciągu ubiegłych pięciu lat i w kładowcom, i studentom szkół wyższych brakło nieodzownego czynnika w pogłębianiu wiedzy: czasu.

Przeciętny student miał tygodniowo nieraz 40—50 godzin obowiązkowych wykładów i ćwiczeń, czyli tyle, a nawet więcej, co uczeń liceum, czy technikum zawodowego. Na własną lekturę, na tak istotne i... uroczę w pracy studenta szperanie po bibliotekach, chodzenie na wykłady z innych, pokrewnych obranej dyscyplinie specjalności, na pisanie referatów i prac seminaryjnych, nie będących zlepkami cytatów z przeróżnych łatwo dostępnych dzieł — nie było czasu. Siłą rzeczy seminaria i konwersatoria studenckie, których zadaniem jest w zasadzie wyrabianie u młodzieży w ostryj i bezkompromisowej dyskusji samodzielności naukowej, zamieniły się w nominalne „odpytywania”, niczym się nie różniące od podobnych sprawdzianów wiadomości w szkołach średnich.

Nic dziwnego, że pracownicy naukowcy, werbowani nieco „na siłę” z tak przygotowanego narybku studenckiego odznaczali się w minimalnym stopniu zdolnością do podejmowania samodzielnych badań i piecia się bez podtrzymywania po szezeblach drabiny i tytułów funkcji uniwersyteckich.

Gdy w ten sposób zmniejszo no dopływ wartościowych, młodych sił naukowych — przeciążono z drugiej strony jałową i niewiele dającą pracą dydaktyczną i biurokratyczną — administracyjną pracujących już nieraz wytrawnych i doświadczo- nych wykładowców i badaczy. Nie tylko nie miał czasu student — nie miał go również profesor czy asystent, powtarzający z cierpliwością godną lepszej sprawy „własnymi słowami” materiał zawarty w podręcznikach i skryptach. Znikły niemal zupełnie tzw. wykłady monograficzne, w których profesorowie mówili o zagadnieniach szczególnie ich pasjonujących i będących w trakcie opracowywania — ustały one miejsca wbijaniu w głowę studentów najważniejszych faktów i danych potrzebnych do egzaminów. Wielu uczonych musiało poświęcać go dzin dziennego, a nawet nocnego wypoczynku pracy badawczej, będącej przecież zasadniczym celem ich życia.

Jeśli się tak rozpisałem o cieniach minionego już na szczęście okresu w rozwoju i pracy naszych uniwersytetów — uczyniłem to dlatego, by tym jaśniej wystąpiły perspektywy rysujące się obecnie przed polskimi szkołami wyższymi. W prasie i radio, a nawet wśród znajomych spotkałem się ostatnio nazbyt często z nadmiernym przywiązywaniem wagi do swobodnej obieralności rektorów i dziekanów i utożsamianiu z nią obecnych zmian w ustroju i pracy polskich szkół akademickich i badawczych ośrodków naukowych. Owszem, jest to ważne — ale chyba nie najważniejsze.

Za radosny i optymistyczny sens obecnych, niewątpliwie niezakończonych jeszcze przemian uważać należy popieranie indywidualnej i mądrej inicjatywy poszczególnych pracowników naukowych i studentów w samodzielnym kształceniu i doskonaleniu swoich zdolności i umiejętności, w odważnej i twórczej pracy badawczej.

Wiemy o tym, że czas zajęć dydaktycznych dla pracowników naukowych i studentów został już w dużej mierze skrócony, że punkt ciężkości tych zajęć przesunął się z wykładów i repetytoriów na seminaria i konwersatoria, a „wkuwanie się” do egzaminów zaczyna ustępować miejsca próbom samodzielnym referatów

(Ciąg dalszy na str. 4)



ZBIGNIEW KAJA: Istambul — różowy minaret (patrz artykuł na str. 2 pt. „Zbigniew Kaja o pięknej włoczędzie i „tureckim kazaniu”).

Iwan Franko w publicystyce polskiej

W Bibliotece Głównej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zorganizowano wystawę, poświęconą twórczości poety, pisarza i publicysty ukraińskiego — Iwana Franko, w związku ze stuleciem jego urodzin oraz Miesiącem Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

czątkowo zanim reakcyjna i nacjonalistyczna prasa ukraińska nie zorientowała się w kierunku twórczości Franko i jego światopoglądu rewolucyjnym, zamieszczęła chętnie jego liryki, zapowiadające wielki talent poetycki. Wkrótce jednak, po ukazaniu się jego artykułów w periodyku polskim „Pra-

Literatura ukraińska jest jedną z najoryginalniejszych, najbardziej wrośniętych w grunt ludowy literatur słowiańskich. Rozwijała się ona w sposób prawidłowy i ciągły przez długie wieki i czerpała soki odżywcze przede wszystkim z kultury szerokiej mas, kultury pielęgnowanej z pokolenia na pokolenie. Literatura ta ma swoje odrębne oblicze narodowe, odznacza się niezwykle bogactwem treści ideowej oraz posiada swoje szczególne cechy artystyczne. Spełniała ona — i spełnia do chwili obecnej — do dzisiaj rolę wychowawczą. Kształtuje świadomość swoich czytelników w duchu postępu, patriotyzmu i piękna. Pomniki tej literatury są równocześnie znakomitą źródłem do poznania przeszłości narodu ukraińskiego i dzieł jego ideologii.

MARIAN JAKÓBIEC
Prof. Uniwersytetu
im. B. Bieruta we Wrocławiu
(Z pracy pt. „Główne etapy rozwojowe literatury ukraińskiej”).

sa”, nacjonalistyczne czasopisma ukraińskie przestały drukować jego utwory. Wgnany z prasy ojczyzny przez długie lata znajdował gościnę na łamach prasy demokratycznej polskiej i częściowo rosyjskiej, czeskiej i ukraińskiej. Franko propagował zbliżenie na platformie demokratycznej działaczy kulturalnych polskich, rosyjskich, białoruskich i litewskich. W 1885 roku opracował zarys programu działalności „Rusko-Polsko-Litewsko-Białoruskiej Spółki Wydawniczej”, której celem była edy-

Franko był z krwi i kości działaczem i pisarzem rewolucyjnym. Już jako 22-letni młodzieniec jest jednym z redaktorów socjalistycznego robotniczego pisma polskiego „Prasa”. Zamieszczę tam takie artykuły teoretyczne jak „Nauka i jej stanowisko wobec klas pracujących”, „Stowarzyszenia robotnicze angielskie”, „Robotnicy i pracownicy” i inne. Spod jego pióra wychodzi po polsku w licznych nakładach popularna w całej Małopolsce broszura agitacyjna w formie pytań i odpowiedzi pt. „Co to jest socjalizm?”, kolportowana szeroko z końcem XIX wieku we wszystkich ośrodkach robotniczych b. Galicji.

Nieco później Franko zasila licznymi artykułami polskie pismo periodyczne „Ziarno”. Ukazuje się wtedy artykuł, który wywołał nagonkę na Franko pism klerikalnych. Jest to artykuł pt. „Państwo i Kościół”. Razem z polskimi socjalistami L. Intenderem i B. Czerwińskim opracował Franko „Program socjalistów polskich i ruskich w Galicji Wschodniej”. Największą ilość artykułów Franko ogłosił w „Przeglądzie Społecznym”, wydawanym przez Bolesława Wyśloucha, warszawskiej „Prawdy” Świętochowskiego i „Głosie” Popławskiego.

Długo, bo przez 10 lat Iwan Franko był stałym współpracownikiem „Kurieru Lwowskiego” wydawanego przez Henryka Rewakowicza. Ten okres jego działalności jest dotychczas najmniej zbadany i stanowi obecnie przedmiot studiów młodych historyków literatury ukraińskiej.

W czasie swej działalności publicystycznej w prasie polskiej, Franko (niejednokrotnie ścigany i więziony przez władze austriackie) oprócz tworzenia pięknych liryk, stanowiących ozdobę literatury ukraińskiej, pracował w kierunku naukowym. Po wyjściu z więzienia napisał szereg prac krytyczno-literackich. Cenne jest jego studium o Szewczen-ce, a dla stosunków kulturalnych polsko-ukraińskich duże znaczenie posiada odnalezienie przez niego szeregu nieznanych przedtem dzieł wybitnego ukraińskiego pisarza — polonisty z XVII wieku Iwana Wiszeńskiego. Obecnie, gdy naród ukraiński obchodzi 100-lecie urodzin Iwana Franko dla nas Polaków postać ta jest szczególnie droga, gdyż Franko był szczerym przyjacielem naszego narodu i propagatorem zbliżenia polsko-ukraińskiego.

Henryk BARAŃSKI

Z młodej poezji poznańskiej

Eugeniusz Wachowiak
DO PRZYJACIÓŁ
Hansa Schmidta w Wiesbaden

Gdy wracam wieczorem z pracy, mijam grób Hansa Schmidta.
W niedzielę, idąc na spacer, mijam grób Hansa Schmidta
w przydrożnym skryty rowie.
Z krzyża już czerep hełmu spadł
strącony przez jesienny wiatr
z niezbytym kłosem żyta.

Hans Schmidt pisał z frontu do żony,
że uścisnie ją wkrótce w Wiesbaden.
Wysłał list, a za listu śladem
sucha trześcią brzęczą telefony:
„Hans Schmidt ist für Führer, Volk
und Vaterland gefallen”.

Nie,
Nie stał go na podbój szlifierz Schulz
ani fryzjer z tej samej ulicy.

Nie,
w nadwarciańskie go łęgi nie stały
ukośne znad Menu winnice.

Hans Schmidt zostawił syna,
który chce kąpać się w rzece,
który ma swoją dziewczynę
i nie chce, by szarozielony
hełm wzięł jego skronie.

Na pamięć jego ojca
podajcie mu
nie karabin — dłoń!



Państwowy Teatr Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. „Intryga i miłość” — Fryderyka Schillera, w reżyserii Zbigniewa Koczanowicza. Na scenie Zdzisław Giejejewski (von Kalb) i Stanisław Cynarski (von Walter). O teatralnym jubileuszu lubuskim piszemy na stronie 5. Fot. Zdzisław Mozer

Cztery tysiące stron czeka...

W 35 n-rze Nowego Świata Antoni Trepiński poruszył sprawę wydania Encyklopedii Poznańskiej, która by zamykała przeszłość naszego wojewódzkiego miasta. Słuszność dążeń autora artykułu „O ENCYKLOPEDIĘ POZNAŃSKĄ” jest oczywista. Należy tylko życzyć sobie, aby nasi historycy - regionaliści zabrali się do pracy i aby drukarnia zajęła się mającym powstać Wydawnictwem Poznańskim.

Chciałbym przy tej okazji po ruszyć zagadnienie monografii regionów naszego województwa. Monografi już gotowych, które albo z „dziwnych” przyczyn, albo z braku zainteresowania najbardziej do tego upoważnionych, nie mogą ujrzeć światła dziennego.

Mamy w naszym województwie grupę amatorów — historyków, niestrudzonych szperaczy, zbieraczy dokumentów przypadkowo znajdujących się w rękach ludzi nie orientujących się w ich wartości historycznej. Przypomnę tu tylko Z. PĘCHERSKIEGO z Konina. Opracował on bardzo ciekawą monografię (w formie przewodnika) powiatu konińskiego. Praca ukończona w Warszawie i mimo akceptacji wydawców jakoś nie może doczekać się prasy drukarskiej. Ten sam historyk — amator zebrał dużo dotychczas nieznanego materiału do historii powstania chłopstwa w Wielkopolsce w r. 1651.

Mało kto wie, że w czasie najazdu szwedzkiego chłop wielkopolski bronili się w zamku w Gołańczu. Przesłaniem Gołańczy zajmują się aptekarze w Wapnie, pow. Wągrowiec — J. STRZYŻEWSKI.

Ogromne bogactwo przyczynkowego materiału do historii gospodarczej i obyczajowej zamknął autor 10 roczników Kroniki Gostyńskiej — WŁADYSŁAW STACHOWSKI w Encyklopedii historycznej pow. gostyńskiego i w Monografii m. Grodziska. Jest to owoc przeszło 40-letniej pracy amatorskiej.

Władysław Stachowski na pod stawie skrzętnie zbieranych wiadomości z kronik, dokumentów archiwalnych, własnych zbiorów, wyciągów z gazet XIX wieku i innych źródeł, opracował historię każdej wioski swe go powiatu. Praca licząca 4 tysiące stron maszynopisu obejmuje czasy od XII i XIII wieku do XX wieku. Możemy w niej śledzić rozwój gospodarczy osiedli, historię rodów szlacheckich, miejskich i chłopskich, rodowody nazw osiedli, nazwisk. Nie brak opisów chat chłopskich, miejskich, magnackich i średniozamożnych dworów. Obyczajowość zajmuje wiele kartek. Nie brak tam też pięknych dowodów patriotyzmu chłopskiego z okresu XVIII i XIX wieku. Wątpię, czy gdzie indziej znajdziemy tyle materiału do historii cechów rzemieślniczych!

W oparciu o „Monografię” pow. gostyńskiego można by napisać wiele ciekawych prac zagadnieniowych. Wład. Stachowski nie mógł tego dokonać, bo i to, co zrobił, przerasta — zda się — możliwości jednego człowieka.

Ze źródła tego czerpało już wielu naukowców z Poznania i z Warszawy. Nie będę chyba przesadzał, że u Wł. Stachowskiego powstało co najmniej kilkanaście uniwersyteckich prac magisterskich. Tym smutniejsze, że do tego czasu temu historykowi - amatorowi nie przyszedł nikt z pomocą. Nie zainteresowali się jego pracą członkowie Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Władysław Stachowski już do chodzi do siedemdziesiątki. Owoc jego wieloletniej pracy leży w szafie bibliotecnej. A przecież nie pracował dla siebie. Kto zaimpie się 4 tysiącami stron niezmiernie ciekawej historii — swego rodzaju unikat — w Polsce? Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk i Polskie Towarzystwo Historyczne mają — moim zdaniem — obowiązkiem przejęcia tego dzieła, które przewyższa na przykład niedawno wydany „Inwentarz dóbr szlacheckich powiatu kaliskiego”.

Odnoszę wrażenie, że poznańscy historycy, którzy wysuwają się na czoło historyków w Polsce, zasklepili się we własnym kręgu. Na temat pracy i osoby Wład. Stachowskiego rozmawiałem z jednym z profesorów historii Uniwersytetu im. M. Curie - Skłodowskiej w Lublinie (nazwiska nie pamiętam), powiedział mi: „U nas w Lublinie od dawna istnieje Towarzystwo Miłośników Historii, które właśnie skupia historyków z zawodu i amatorów. Należą do nich pracownicy wydawnictwa. Nasi amatorzy dali duży wkład w rozwój naszej dziedziny naukowej, nie jedną rzecz wyjaśnili i uzupełnili.”

Czyżby u nas nie można było zorganizować czegoś podobnego? Sądzę, że dałoby to dobre wyniki.

Józef PIEPRZYK



Na ekranach kin zobaczymy wkrótce film produkcji polskiej według scenariusza Ludwika Starskiego — „Nikodem Dyzma”, zrealizowany na podstawie powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Na zdjęciu: Adolf Dymśka (Dyzma) i Ewa Krasnodębska (Kunicka).

CAF — CWF

Zbigniew Kaja o pięknej włóczędze i „tureckim kazaniu”

Nazwisko Zbigniewa Kaji znane jest szerszemu ogółowi miłośników sztuki plastycznej z racji wielu sukcesów młodego grafika. Cieszy on się niemałym już powodzeniem artystycznym, zwłaszcza zagranicą. Z niej to właśnie wrócił Kaja niedawno po 2-miesięcznej nieobecności w Poznaniu.

Ale oto mamy okazję porozmawiać z panem Zbigniewem przy czarnej, dobrej kawie.

— Tak, to była bajeczna podróż: samolotem do Szwajcarii, stamtąd nad Adriatykiem i Jugosławią do Grecji i uroczyska Turcji. W powrotnej natomiast drodze wykładowałem jeszcze we Włoszech, które bardzo pragnąłem zobaczyć.

Jak się dalej dowiadujemy, celem podróży było miasto Izmir w Turcji, gdzie w do-rzecznych targach brała też udział i Polska. Otóż pawilon nasz na te targi projektował (jeśli chodzi o grafikę) właśnie Zbigniew Kaja. Trzeba było zatem projekty na miejscu zrealizować.

— Mielśmy dużo pracy. Cała nasza polska ekspedycja zabiegała o to, by pawilon prezentował się możliwie jak najlepiej. Czy nam się to udało?

Nie doczekaliśmy się odpowiedzi, no — cóż, współautor, projektant, wykonawca; jakże tu o sobie mówić? Przeszliśmy więc na inny temat.

— Wydaje się, że Europejczyków szczególnie interesuje Turcja. To już przecież egzotyka, Azja... wprawdzie Mniejsza, ale Azja.

— Widziałem Istanbül, Kijów, Efez, Bergamo, miasta niezwykle ruchliwe, bo to przecież Wschód rozgwarzony, hulaśliwy. Ale te miasta równie dobrze mogłyby znaleźć się w Europie. Wielkie gminy, szerokie ulice, a na nich rzeka samochodów! (oczywiście o dwóch przeciwnych prądach). Zwłaszcza Istanbül jest doskonale zapchany samochodami, a w ogromnym rozlewisku portu — okrętami. Jedno tylko chcę określić: miasto to jest europejskość „wyłaziła na wierzch” egzotyka wschodu. Na Marcinowskiego szło się stąd wąską uliczką, zabudowaną z obu stron zabytkowymi kamieniczkami, ich mury dopierały się o nieco tynku. Spotkał tutaj znajomego bezrobotnego plastyka, który zatrzymał go, pożyczyl pięć złotych na obiad w barze mlecznym i podyrzał dalej.

W kulturalnym życiu Poznania i terenu, na który miasto nasze działa — nie małe znaczenie ma praca naszych artystów, a szczególnie grafików. Nie umiuję w niczym innym „sekcjom” poznańskiego oddziału Związku Polskich Artystów-Plastyków, przynajmniej, że nasi graficy niejednokrotnie już dali o sobie znać i to nie tylko w kraju.

Tu wtrąciłoby się zakończenie: „wówczas obraz tureckiego miasta gotowy”. Ale tak nie jest.

— Ze się jest w Azji, to się spostrzeżę i doznaję dopiero z dala od miast, na prowincji, gdzie dziś jeszcze bywają wioski, w których kobiety noszą zasłony na twarzach, wioski położone wśród pustyni wylanych niemilosierdnym słońcem. To jest już Azja.

Można sobie wyobrazić barwy i tony w bazarze, jakiegoś przedziwnego owocu, różnokolorowe.

CZEKAW MICHNIAK

SKÓRA

(Z tomu „Opowiadań dziwnych i tragicznych” przygotowywanych dla Wydawnictwa Poznańskiego)

Inspektor otarł chusteczką usta, — właśnie skończył pić herbatę ze szklanki, w której odbijały się jak w krzywym zwierciadle jego nos i grube usta.

Był mężczyzną szerokim w ramionach, w biodrach, miał też szerokie w nogawkach spodnie no i jeszcze czerwony, sze-roki kark.

Westchnął ciężko i głęboko, po czym zaczął przerzucać papiery, piętrzące się przed nim na biurku. Jeden z listów, pisany kulfonami zwrócił jego uwagę. — Ktoś nieujawniony donosił, że... „u pani Mrówki na Marcinowskiego pod 58 w łofie, drugie drzwi łobok strysku, pod łuskiem jest schowana nielegalna skóra. Ona jest urogiem łodu. Ta Mrówka to szyje bambosze...” tymi słowami kończył się list.

Schował papier do kieszeni, zamknął szufladę i wyszedł na ulicę, po której jeździły tramwaje, samochody, rowery i wózki dziecięce.

Na Marcinowskiego szło się stąd wąską uliczką, zabudowaną z obu stron zabytkowymi kamieniczkami, ich mury dopierały się o nieco tynku.

Spotkał tutaj znajomego bezrobotnego plastyka, który zatrzymał go, pożyczyl pięć złotych na obiad w barze mlecznym i podyrzał dalej.

Inspektor ubierał się jak przeciętny

na tropach & MUZY

W teatrze oglądaliśmy zawsze całą postać aktora — i jeśli nawet siedzieliśmy w pierwszym rzędzie, widzieliśmy go zawsze z odległości co najmniej kilku metrów. Z bohaterem filmowym spotykamy się twarzą w twarz; dzięki zbliżeniu możemy obserwować grę jego rąk, oczu, najniższe drgania twarzy.

Sztuka sceniczna rządzi się daleko posuniętą konwencją. W teatrze najważniejszą rzeczą jest słowo reprezentowane przez aktora. Film — jest zawsze bardziej dosłowny, potoczny, bardziej zbliżony do życia, a słów na ogół nie lubi.

Nie mamy, niestety, aktorstwa filmowego, takiego, jakiego dopracowali się Włosi czy Francuzi. U nas grają aktorzy sceniczni. Z każdym nowym filmem pojawiają się nowe nazwiska i nikną, zanim ich właściciele nauczą się filmowości. Na palcach jednej ręki można policzyć tych aktorów, którzy zdobyli trwalsze miejsca w pamięci widza. Prawie wszystkich dostarczył dwuseryjny film Kawalerowicza, jedynego bodaj reżysera, który — obok Munka — potrafi właściwie kierować aktorem.

rowe twarze, grę światła i cieni w tak hojnym tu słońcu...

— Przywożem z sobą dużo materiału do pracy, tworzę warsztatowego, z którego spróbuję wydobyć całą oryginalność tego kraju i ludzi. Nie wiem, czy mi się to uda. W każdym razie pracy czeka mnie dużo.

O przysłowiowym „tureckim kazaniu” dowiadujemy się, że dla Polaka nie jest ono znowu tak niezrozumiałe.

— No, bo w języku tureckim są takie słowa, jak: imbryk, karabela, kontusz, kabat — zrozumiałe, prawda? Tak, tylko oznaczają one coś innego. Nie wiadomo, co.

Zbliża się okres wystaw; prawie do przyszłego lata w różnych salonach ekspozycyjnych oglądać będziemy prace naszych artystów.

W tym zapewne Zbigniewa Kaji — z Turcji, Grecji i Włoch.

t. h. n.

W filmie gra nie tylko aktor

Ludziom wychowanym w teatrze bardzo trudno przychodzi przewyżnić sceniczny sposób gry, opowiadać nawyk ekspresji słowa i gestu. O kłopotach tych mówił Pudowkin przy realizacji „Matki” w roku 1925 (rolę tytułową grała W. Baranowska): „aktor... cofała się, chwylała się za głowę, wykonywała mnóstwo ruchów, z których każdy przerażał mnie przesadą. Wszystko, co robiła, odczuwałem, jako nieznośne dla mnie, teatralne zgrzywanie się. Zaproponowałem jej próbę zagrania tego fragmentu bez żadnego ruchu, bez żadnego gestu, przy jednoczesnym zachowaniu przeżywanego stanu duchowego”.

A więc stany uczuciowe trzeba wyrazić na ekranie inaczej niż na scenie. Jak? Tutaj często zaczynają się dalsze nieporozumienia. Reżyser zabrania gestykulować, w porządku, trzeba „to” zagrać twarzą. Jest okazja do popisania się. Ponieważ zbyt wiele w naszych filmach wyraża się poprzez dialog, a przy dialogach trudno nie pokazać twarzy, więc aktor „gra” mimiką na całego, więc nagradzając sobie w dwójnasób ograniczenia gestu, Czarna wypęda się Belzebubem.

Zaryzykuję twierdzenie, że właśnie w nadmiarze gry mimicznej tkwi głównie słabość

wiel (tym razem) szekspirowski Hamlet: „Słowa, słowa...”. Drętwe czy nie drętwe — nie wielka różnica.

Oddajmy jednak sprawiedliwość aktorom. Główną winę ponosi tutaj kto inny.

Jedną z najbardziej wzruszających scen z filmów wielkiego Chaplina jest ta, w której mały człowieczek, wzgardzony przez ukochaną kobietę, odchodzi smutnym, śmiesznym krokiem odwrócony do widza plecami. („The Tramp”). Podobną scenę zobaczymy w zakończeniu „Dzisiejszych czasów”.

Zastanówmy się, co tu jest aktorskiego? Nie widzimy ani twarzy, ani gestów, które wyrażałyby wzruszający smutek zakochanej kukiełki. Prawda, że Chaplin był genialnym aktorem, że stworzył sylwetkę aktorsko niepowtarzalną. Ale zwykłość w tych scenach odniósł przede wszystkim jako reżyser, nie jako aktor. Zagrały tutaj nie tyle jego umiejętności aktorskie, ile stworzona przez niego sytuacja. Chaplin — reżyser oddał Chaplinowi — aktorowi największą zasługę: wzbudził wzruszenie widowni nie ukazując twarzy.

Podobnych scen można znaleźć w historii kinematografii wiele. Sięgnijmy jeszcze do Eisensteina, do jego słynnej sekwencji „schodów odesskich” w „Pancerniku Potiomkinie”. I znów znajdziemy tam brak aktorstwa — w sensie kreacji. Znajdziemy postaci „zagrane” przez nie-aktorów, znajdziemy kapitalny montaż, dzięki któremu kamienne postaci lwów czywają, zdają się gotować do skoku. Wielka scena — bez wielkich kreacji.

Podobnych przykładów dostarczą także wybitne filmy neorealizmu włoskiego („Złodzieje rowerów”, „Rzym godziną jedenastą”). Sytuacja, detal, drobny rekwizyt, umiejętność posłużenia się kontrastem — wywiera silniejsze wrażenie niż najwspanialsza twarz.

Dochodzimy do sedna sprawy. Film, to przede wszystkim ruchoma sytuacja. Dialog jest statyczny. I dlatego gra oparta na dialogu będzie statyczna, niefilmowa. Siła oddziaływania bohatera na widza zależy przede wszystkim od reżysera, od umiejętności zbudowania sytuacji, od jego pomysłu w oświ. Bez niej aktor zawsze będzie musiał wykonywać czar na robotę za reżysera robotę skazaną z góry na chłód widowni.

Janusz BINIEK



Nie mamy w Polsce aktorstwa filmowego, takiego, jakiego dopracowali się Francuzi czy Włosi. (Na zdjęciu — wybitny, bardzo filmowy aktor F. Lulli w filmie „Ucieczka do Francji”).

polskiego aktorstwa filmowego. Filmy nasze cechuje swoista monotonia aktorska. Parafrazując słowa mistrza Gałczyńskiego: „mimika, mimika, tkliwa dynamika...” i — jak ma-

*) Nb. nadmiar gestykulacji był jednym z zasadniczych braków „Matki” — Dońskiego.

przez zaskoczenie, jak go uczono na kur sie w Cieplicach, podbiegł prędko do łóżka, nachylił się i wygarnął spod niego spory, ciężki pakiet. Zdarł papier, w środku była skóra.

Kobieta krzyknęła, dziecko ciągle jeszcze trzymało palec w buzi. Nagle spytało ze zdumieniem.

— Mamusi, ten pan jest niegrzeczny, prawda mamusi?

Kobieta nic na to nie odpowiedziała.

— No, no — rzekł, okazując Mrówce legitymację. Był zadowolony. Miał co chciał.

— To będzie skonfiskowane — powiedział surowo. Zbliżył się do okna, z którego, patrząc w dół, ulica podobna była do kieszki, ludzie do mrówek, a tramwaje do poruszających się ospale zabawk.

Kobieta wybuchnęła płaczem.

— Panie, a z czego ja będę żyła, ja wdowa panie, o pracę trudno, a do PGR nie pójdę za nic... Dziecko ma plamy na płucach, panie!

— Jestem gotów pani pomóc — rzekł nie widząc jej. Znowu spojrzął w okno, z którym teraz było tylko niebo, nie więcej — ale, rozumie pani...

Przestała płakać, podeszła do szafki, z której wydobyla ćwiartkę wódki, zabarwionej czymś nieokreślonym i talerz z suchą kiebasą, pokrajaną w plasterki: widać przygotowała to „na wszelki wypadek”. Zadzwoń kieliszek. Z dolnej szufladki wyjęła serwetkę.

Zapachniało czosnkiem, inspektor pociągnął nosem, przemógł się jednak.

— Dajże pani spokój — powiedział wpatrując się ciągle w to błękitne niebo za szybą. — Mnie nie wolno pić, mniszka szkodzi wódka — przejechał chusteczką w kratę po szerokim karku.

— Pewno ma wrzód w żołądku — pomyślała i włożyła karafkę i resztę akcesoriów poczęstunku z powrotem do szafki.

Stropiła się jakby tym jego wyzna-



Okladka programu wydawnego do prapremiery „Dam i huzarów” w Döbeln — Aleksandra Fredry.

W DNIU 29 WRZESNIA BR. OBCHODZIŁ PIĘCIOLECIE SWEGO ISTNIENIA PAŃSTWOWY TEATR ZIEMI LUBUSKIEJ W ZIELONEJ GÓRZE, JEDNA Z NAJRUCHLIWSZYCH PLACÓWK KULTURALNYCH ZIEMI ODZYSKANYCH.

Ciekawy jest rodowód sceny lubuskiej. Teatr wywodzi się z zespołu amatorskiego Zakładów „Polska Weina” w Zielonej Górze. W dzisiejszym zespole, obok artystów, którzy w ciągu minionych lat zasilili kadry teatru, znajdują się także „weterani” z dawnego zespołu amatorskiego, przeważnie młodzi wiekiem, choć dojrzały już dopełnionym wykształceniem aktorskim.

W czasie swej pięcioletniej działalności Teatr Ziemi Lubuskiej przygotował 42 premiery (w tym 20 premier autorów polskich). Ogólna ilość przedstawień w tym okresie wyraża się imponującą liczbą 1974, z czego 712 spektakli obejrzała stolica województwa, Zielona Góra, resztę zaś wystawiono w przeszło czterdziestu miejscowo-

„Szaradzista”

Polecamy go wszystkim, którzy uskarżają się na nudę, wczasowiczom na nie pogodę, podróżnym w pociągach, studentom (nie na wykłady!)... Nazywa się „Szaradzista” i jest jedynym w Polsce piśmie (dwutygodnikiem), poświęconym wyłącznie rozrywkom umysłowym. Każdy numer zawiera kilkanaście krzyżówek, rebusów, zagadek, których rozwiązanie, choć sprawia nie raz duży kłopot, jest pasjonujące i przynosi wiele zadowolenia. Bardzo ciekawy jest też tzw. kącik brydżowy redagowany przez jednego z najlepszych brydżystów Polski — gracza krakowskiego „Energetyka” mgr. B. Seiferta.

Znajdziecie tam i ciekawe zagrania z meczów brydżowych i interesujące problemy rozrywkowe, możecie też nadsyłać własne uwagi do dotyczące licytacji i rozegranych. Zresztą zająćcie sami... (b)

niem, niemniej zauważyła, że jego oczy nie patrzą już tak ostro, służbowo jak przedtem, może więc dlatego odwracał wzrok od niej i gapił się wciąż za okno. Zauważyła też, że w ukształtowaniu jego ust jest coś z uśmiechem.

— *Wieg ile?* — spytała szybko, znówu ze łzami w oczach.

Była niebrydka i bardzo szczuplutka, przez cienką sukienkę prześwitwały nogi. Pocięła jego badawczy wzrok na siebie, co dodało jej odwagi.

— *A może by tak?* — popatrzył na skórę, leżącą przed nim na podłodze.

Kobieta oparła się o żelazne łóżko, jej sylwetka wydała się jeszcze bardziej eteryczna.

Nagle odwróciła się i rzekła do dziecka, które nie wyjmowało paluszków z buzi.

— *Heluniu, idź no na podwórko* — wzięła dziewczynkę za rączkę, odprowadziła do drzwi, wypchnęła na zewnątrz — *pobaw się piłeczką* — powiedziała jeszcze.

Drzwi się za nią zamknęły, drobne kroki zaraz ucichły.

— *Skąd pani tyle tego wzięła?* — spytał inspektor.

— *Kupiłam* — rzekła — *jeszcze nie zapłaconą.*

Siedła na łóżku, pod którym znalazła tę nieszczęsną skórę.

— *Czy naprawdę musi pan ją zabrać, skonfiskować, jak wy to nazywacie* — spytała z teatralnym nieco uśmiechem.

— *Niech pan zgadnie jak mi na tmie?* — rzuciła załotnie.

Dzieci piszczały na podwórku.

— *Janina...*

— *Nie, dlaczego tak?*

— *Kryształna?*

Położyła się prawie na łóżku, jej głowa dotykała poduszki, policzki zlewaly się z nią w barwę niedopranego poszewki. Sukienkę miała zadartą ponad kolana...

Inspektor chrząknął.

— *Świat jest taki piękny* — rzekła

Teatralny jubileusz lubuski

sełach miejskich i wiejskich Ziemi Lubuskiej oraz pogranicznych powiatów Dolnego Śląska. Przez widownię sceny lubuskiej przewinęło się w pięciolecie 658.267 widzów. — Wiosną br. pracowity teatr bawił na kilkudniowych występach gościnnych w Poznaniu ze staranną, głęboką inscenizacją sztuki Karela Čapka — „Matka”. Była to polska prapremiera dramatu.

W czasie zeszłorocznego V Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów, PTZL nawiązał koleżeńskie stosunki z zespołem teatru powiatowego w Döbeln (Saksonia — NRD). Widomym przejawem zacieśniania się współpracy stała się pomoc sceny lubuskiej w przygotowaniach do niemieckiej prapremiery „Dam i huzarów” — A. Fredry, jaka odbyła się latem tego roku w Döbeln. Oprócz materiałów, dot. Fredry i jego epoki, dokumentacji scenograficznej i kostiumologicznej, w pracach nad inscenizacją służyła niemieckim artystom bezpośrednią pomocą delegacja PTZL w osobach: dyrektora i kier. art. — Zbigniewa Kocza-

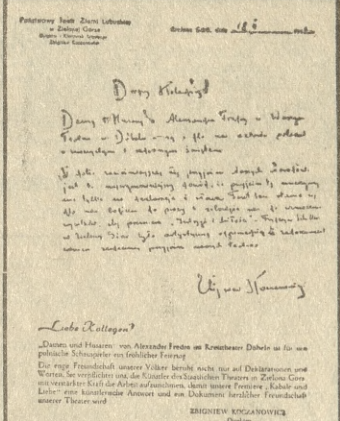
nowicza i kierownika literackiego — Zdzisława Głazewicza, którzy w ostatniej fazie przygotowań przebywali w Döbeln.

Oba teatry zobowiązały się do dalszej współpracy repertuarowej oraz inscenizacyjnej. Kreistheater w Döbeln ma wystawiać corocznie jedną sztukę polskiego autora, teatr w Zielonej Górze analogicznie wprowadzi na afisz jedną sztukę autora niemieckiego. W roku bieżącym jest nią Schillerowska „Intryga i miłość”, zarazem przedstawienie jubileuszowe.

Na obchód pięciolecia przybyła z Döbeln do Zielonej Góry sześcioposobowa delegacja teatralna z dyrektorem teatru, reżyserem Güntherem Klingnerem i kierownikiem muzycznym — Wolfgangiem Suppsem. Kilkudniowa wspólna wymiana doświadczeń teatralnych doprowadzi do jeszcze szerszej niż dotychczas współpracy obu scen z planowaną już wzajemną wymianą inscenizacji włącznie.

Obchód pięciolecia, jaki nastąpił po uroczystym przedstawieniu „Intrygi i miłości”, przebiegał w manifestację przywiązania, jaką publiczność lubuska darzy swą scenę. W dniu tym Rada Państwa przyznała wysokie odznaczenia najbardziej zasłużonym pracownikom PTZL. Obok Zb. Kocznowicza, złote krzyże zasługi otrzymała trójka scenicznych weteranów, pamiętających niełatwe początki narodzin teatru: Zofia Friedrich, Stanisław Cynarski i Karol Hruby. Kilkanaście dalszych odznaczeń otrzymali artyści, pracownicy techniczni i administracyjni teatru.

P.



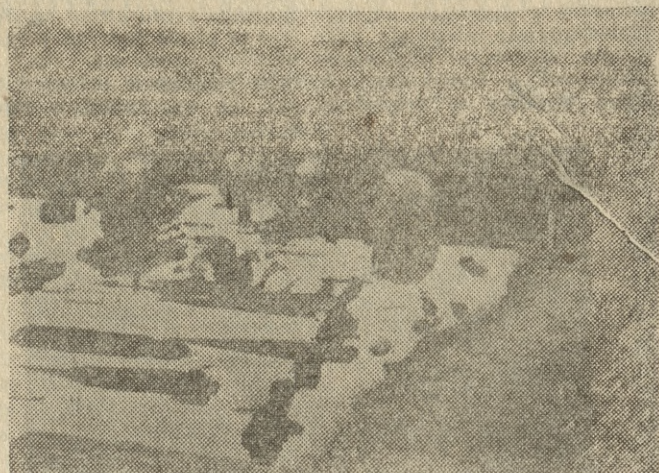
Strona wewnętrzna programu „Dam i huzarów” z facsimile listu Zbigniewa Kocznowicza — dyr. Państw. Teatru Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze. Treść listu brzmi:

„Droży Koledzy! „Damy i huzary” — Aleksandra Fredry w Waszym teatrze w Döbeln — są i dla nas aktorów polskich uroczystym i radosnym świętem. W dobie zacieśniającej się przyjaźni Naszych Narodów jest to najwymowniejszy dowód, że przyjaźń tę mierzymy nie tylko na deklaracje i słowa. Fakt ten stanie się dla nas bodźcem do pracy i zobowiąże nas do wzmożenia wysiłków, aby premiera „Intrygi i miłości” — Fryderyka Schillera w Zielonej Górze była artystyczną odpowiedzią i zadołkowaniem serdecznej przyjaźni naszych teatrów.

Co nowego w Biskupinie?

Tekst i zdjęcia:
K. Jazwiecki

za jednym zamachem dwie miejscowości: Biskupin-Wykopaliska i Biskupin-Wieś. W pierwszej dowiedziałem się szczegółów o nowych znaleziskach, w drugiej odwiedziłem p. Szwajcra, Jego opowiadanie, którego treść znalazłem we fragmentach



Fragment odkrytego w tym roku gródka obronnego, a raczej jego ruiny z czasów Mieszka I. Na zdjęciu widoczne żarna kamienne, paleniska i zarysy drewnianych podłóg w izbach.

GRODZICHA I DIABEŁ WENECKI

Jak na pewno niektórym czytelnikom wiadomo „odkrywcą” Biskupina jest stary kierownik szkoły, Walenty Szwajczer. Stary oczywiście nie tyle wiekiem ile sprawowaniem funkcji społeczno wychowawczej. Od 1933 roku jest bowiem kierownikiem szkoły podstawowej w tej wsi, na terenie której dokonano ważnych dla naszej historii odkryć.

Korzystając z pobytu wakacyjnego w okolicy odwiedziłem

od dawną, nasunęło mi myśl po dzielenia się z wami kilku ciekawymi relacjami. Oto one:

Od dawien dawna w okolicy Gąsawy i Żłyna krążyła legenda o diable weneckim. Miał on podobno przed wiekami swoją kryjówkę w podziemiach ruin starego zamczyska, widocznych jeszcze dziś po drugiej stronie jeziora biskupińskiego od strony wsi Wenecka (w okolicy są jeszcze dwie miejscowości o obcych nazwach — Paryż i Rzym). Ow legendarny diabeł urządził sobie wejście do kryjówki pod wodą, z półwyspu biskupińskiego, gdzie

ku nie dało żadnego wyniku. W rok później, podczas wykładu w siódmej klasie o prasłowiańszczyźnie i odkryciach różnych starożytności, jeden z uczniów powiedział nieśmiało, że jego ojciec kopiąc na „Grodziszce” torf wyciągnął dwa potężne, czarne kłose drzewa. Ten sam chłopak podał też, że biegając kiedyś na brzegu jeziora widział w trzcinie wystające z wody grube kłose, ostro zakończo-

ne. Archeologowi — amatorowi od razu rozjaśniło się w głowie. Toż to przecież wyraźny ślad jakichś budowli.

Kilka dni po tym, ludzie kopiący torf niezmierznie dziwili się, że ich nauczyciel brodzi w kostiumie kąpielowym w trzcinnach, kopie na łące, rąbie siekierą jakieś drzewo. Zebrawszy jakieś takie dane udał się p. Szwajczer do urzędu starostwiskiego w Żninie. Urzędnik zajmujący się sprawami kultury wysłuchał opowiadania, potrafił je humorystycznie i patrzył z uśmiechem na nauczyciela postukał się znacząco po głowie. Nie omieszkał jednak polecić, by Walenty Szwajczer zrobił odpowiednie doniesienie na piśmie. Odkrywca doniesienie zrobił, ale posłał je prof. dr. Józefowi Kostrzewskiemu w Poznaniu. Było to w listopadzie 1933 roku. Od tego czasu datuje się też odkrycie sławnego na cały świat grodziszca w Biskupinie.

OSIĄGNIĘCIA I STRATY

Druga wojna światowa zniszczyła prawie cały dorobek naukowców polskich w Biskupinie. Hitlerowcy nie mogąc doszukać się tutaj niczego pragermańskiego, postanowili przed wojenną odkrywkę zasypać. Cel jasny. Skoro miejsce to nie może być dowodem na rzecz nacjonalizmu niemieckiego, niech zniknie, niech zarosnie trawą i szuwarami, niech pójdzie w zapomnienie. Wszystkie plany i rysunki z lat 1933/39 wywieziono w nieznane. Nie wiadomo czy będzie je można kiedykolwiek rewindykować.

(Ciąg dalszy na str. 4)



Odkrywca Biskupina, kierownik szkoły w tej wsi — Walenty Szwajczer — znajduje się po zajęciach zawodowych hodowlą pszczoł. Na zdjęciu widzimy go przy wymianie na mek pełnych apetycznego miodu na puste.

bambosze, że na podłodze leży pakiet „lewej” skóry. Stała przed lustrem. Ujrzała siebie w tej błękitnej, cienutkiej sukience, podniosła ją wysoko, zaczęła skrupulatnie oglądać swoje ciało, białe i delikatne.

— *Dlaczego?* — spytała siebie.

Zaniosła się łkaniem, schowała głowę w poduszkę, jej drobne ciało drgało konwulsyjnie, związała się na posłaniu jak dżdżownica. Na podwórzu handlarz wywrzaskiwał swoje oferty. Zerwała się z łóżka, wypila jeden, drugi, trzeci kieliszek wódki. To ją uspokoiło.

Czymhając jeszcze nosem włożyła żakiet wytarty na rękawach, pociągnęła ogryzkiem kredki usta i wychyliła się przez okno.

— *Heluniu* — krzyknęła w stronę śmietnika, za którym dzieci bawiły się w chowanego — *pójdziemy do miasta...*

Nie czekając na odpowiedź, zbiegła lekko ze schodów.

Za chwilę obie szczuplutkie, w leciutkich niemal przezroczystych sukienkach oddalały się wąską uliczką starego miasta w kierunku ratusza. Na straganach leżała młoda marchew, kapusta i kalarepa.

Kupiła małej dziewczynce dwie marchewki: — *Masz, gryź* — rzekła do dziecka.

Następnego dnia wieczorem przyszedł inspektor po połowę skóry. Mrówka jak by trochę jeszcze obrażona, udawała, że go nie widzi, ale transakcja została dokonana. Mała dziewczynka spała już w łóżku swej matki, a z ulicy dochodziły dzwonki tramwajów.

Mrówka pognęła go chłodno, prawie nie tak jak kupiec kupca. Gdy z ciężarem na plecach windował się schodami w dół, rzekła do siebie:

— *Niestychane, żeby skóra tak podrożała...*

Zrekonstruowana według znalezisk chatka naszych praojców sprzed 2500 lat. Na prawo brama wiodąca do Grodziszca, z wieżą strażniczą i częścią wału obronnego — odtworzona również na podstawie wykopaliisk.

obecnie prowadzi się prace wykopaliskowe. Tu miał wychodzić wśród ciemnych nocy, aby czynić ludziom zło. Starzy jeszcze dziś drżą lekko na wspomnienie różnych psot wyrządzanych podobno przez diabła ich pradziadkom. Widać z tego, jak głęboko tkwi przesąd i zabobon w umysłach prostych ludzi, jak skrajnie jest przekazywany z pokolenia na pokolenie. Ale to tylko uwaga marginesowa.

Usłyszana legenda o podwodnym tunelu nasunęła nauczycielowi myśl zbadania terenu. — Przed wyruszeniem przeprowadził wiele rozmów ze starszymi ludźmi. Usłyszał inną legendę. Oto ludność okoliczna półwyspu jeziora biskupińskiego nazywała zwyczajowo „Grodzicha”. Taką nazwą widocznie ochrzczono w dziejach dawniejszą wyspę z ruinami spalonego grodziszca. Bo obecnie udowodniono naukowo, że teren wykopalisk stanowił istotnie 2500 lat temu dość dużą wyspę. Stąd zapewne — „Grodzicha”. Z tego możemy się domyślać, że nazwy dawane przez lud różnym miejscom, nazwy czasem bardzo dziwne, mają swoją podstawę historyczną. W każdej legendzie lub podaniu ludowym mieści się jakaś cząstka prawdy. Legendy te — jak wiemy — były pierwszymi wskazówkami do wielkiego odkrycia z przeszłości naszych dziejów.

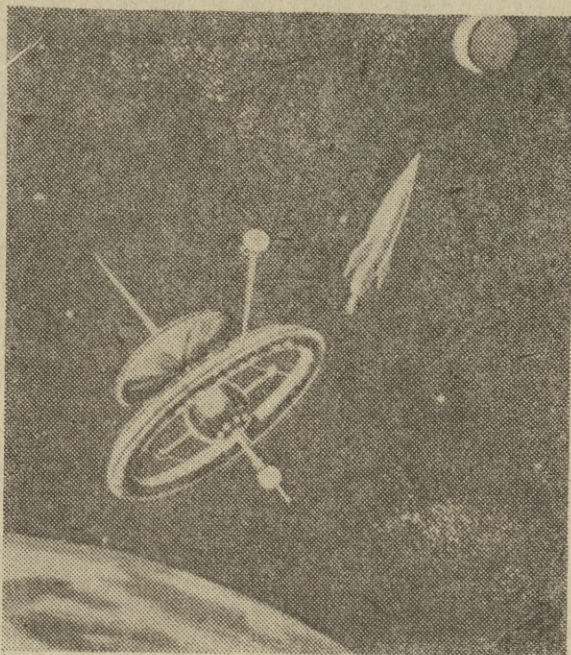
URZĘDNIK STAROSTWA STUKA SIĘ W CZOŁO

Pierwsze rozpoznanie dokonał przez nauczyciela w 1932 ro-

„Planet nie należy traktować jak... kolonii!”

Zakończone ostatnio obrady VII Kongresu Astronautycznego w Rzymie, nie pozbawione były akcentów, rzadko na ogół notowanych na zjazdach tego typu. Oczywiście, dominowały na nim przede wszystkim problemy techniczne związane z podróżami międzyplanetarnymi; niemniej dużym novum stanowiły wypowiedzi traktujące o konsekwencjach, które wynikną w przyszłości

Na dowód tego, członkowie owej delegacji przytoczyli fakty, jakoby Związek Radziecki opanował już takie główne przeszkody, jak „wyposażenie w załogę satelitę, wzrastającą temperaturę związaną ze zjawiskami aerodynamicznymi, zjawiska fizjologiczne występujące w czasie podróży, promieniowanie kosmiczne itp.” Ci sami członkowie delegacji dodali, że wyposażeni w załogę



Lot ze stacji przestrzennej na Księżyc.

na skutek zetknięcia się człowieka z planetami zamieszkanymi przez istoty żyjące.

Dużą sensację wywołało w związku z tym przemówienie uczonego amerykańskiego Haleya, który powiedział m. in.: „Podróżnicy międzyplanetarni nie powinni kolonizować, ani zatykać flag na innych planetach, a w razie napotkania wyższych form życia, nie wolno im nastawiać się na podbój. Zasadom prawa międzyplanetarnego — ciągnął Haley — winno przyświecać hasło „nie czyni innym, czego byś nie chciał, żebyś tobie czyniono!” I dalej: „Każdy statek międzyplanetarny tylko wówczas będzie mógł lądować na innej planecie, o ile stwierdzi się z góry, że lądowanie i nawiązanie kontaktów nie zaszkodzi ani badaczom, ani osobnikom badanym... Również — podkreślił Haley — żaden statek nie powinien lądować, jeżeli badane obiekty międzyplanetarne nie zaproszą go do tego; inaczej bowiem wysłać będziemy w przestrzeń słabości i niszczące zbrodnie dokonywane przez ludzkość”.

Oczywiście, pozostaje jeszcze całkiem otwarty problem, czy spośród sąsiadów naszej ziemi, niektóre planety są w ogóle zamieszkałe. Pod tym względem astronomowie wyrażają swe wątpliwości, zwracając uwagę na niepomyślne warunki atmosferyczne panujące na planetach układu słonecznego.

Drugiej sensacji dostarczyła w trakcie trwania kongresu Agencja Reutera. Była nią wiadomość, że Związek Radziecki może wyprzedzić w zakresie podróży międzyplanetarnej — Stany Zjednoczone. Uczni amerykańscy przyjęli wprawdzie tę wiadomość sceptycznie, lecz mimo to członkowie pewnej delegacji zachodnio-europejskiej (prosilili o niepodawanie nazwisk), oświadczyli, że „ZSRR może zdołać wcześniej umieścić człowieka na sztuczny satelita, niż USA”.

Szkółka czy uniwersytet?

(Dokończenie ze str. 1)

i prac seminaryjnych, których uwieńczeniem ma się stać oryginalna (nie kompilacyjna) praca dyplomowa, magisterska czy inżynierska. Tak samo pracownicy naukowi szczególnie zaś młodszy stażem — asystenci i adiunkci będą posiadali więcej czasu i możliwości dla samodzielnych studiów wybranych przez siebie problemów, będą mogli szybciej i pewniej robić karierę naukową w najbardziej pozytywnym znaczeniu tego określenia.

Uniwersytety i inne szkoły

wyższe stają się wreszcie na nowo uczelniami ludzi dorosłych, a nie szkołkami dla nie dojrzałej młodzieży, którą trzeba prowadzić troskliwie za rączkę od wykładu do egzaminu. Miło jest napisać powyższe zdanie — jeszcze przyjemniej oczekiwać na realne jego efekty w postaci ciekawych i wartościowych prac naukowych a zwłaszcza w osobach ludzi, których bez cudzysłowu będzie można określać i uważać za inteligentów w pełnym bogactwie tego określenia. Oby — jak najprędzej!

ZBIGNIEW PEDZIŃSKI

Z satyry ukraińskiej



Pawło Kluczyna

poeta i satyryk z Kijowa, popularny bajkopisarz

SŁONECZNIK

Słonecznik, z samochwalstwa swego słynny,
Przechwalał się bez miary i bez końca:
— Wszystkie rośliny mi zazdrościć winny,
Bo całkowitą władzę mam nad słońcem!
W pogodny dzień, gdy naród żnie i młóci,
Czynię prawdziwie swoją głową cuda:
Gdziekolwiekbym ja, wiercie, zwrócił,
Natychmiast ze mną słońce tam się uda.
Wynika z tego, że w potrzebie
Zatrzymać mogę je na niebie,
A powiem mu: „Do tyłu całą parą!”
Z zachodu na wschód skreśli zaraz... —

*

Tę bajkę, czytelniku, bez wahania
Zrozumiałcom daj do przeczytania.

Przełożył

EUGENIUSZ ŻYTOMIRSKI

Iwan Zołotarewskij

PALĄCA KWESTIA

Sprawami Jegor jak mchem obrastał,
Spraw przybywało bez liku;
Lecz każda gdzieś się zacięła

i basta —

Nie widać było wyników.
Choć Jegor w biurze orze jak może,
Choć w morzu papierów brodzi,
Choć sprawy stawia na ostrzu noża —
Wciąż z tego nie nie wychodzi.
Gdy na Jegora zwrócono oko
I popatrzone nań z bliska —
Cała rzecz poszła dosyć wysoko:
Zdjęto

Jegora
ze stanowiska.
I spojrzcie!

Oto

stoi przy sterze
Innej poważnej centrali.
Znów sobie sprawy do serca bierze
I nie posuwa ich dalej.
Na „winnych”

wokół
nagany miota,
Dwoi się, robi co może,
I wciąż odłogiem leży robota...
A gdzie tkwi problem?

W Jegorze...

Przełożył

ANDRZEJ DOŁĘGOWSKI



Anekdoty

Kardynał Clasini chciał zadzwonić z Petrarki i zapytał go, czy potrafiłby jednym łacińskim słowem napisać: „150 osłów”.

Petrarka napisał na kartce:

— CL-ASINI (CL — rzymskimi liczbami oznacza 150, asini — po łacinie osły). (B)

*

Paganini brał udział w koncercie, na którym publiczność wygwizdała pewną śpiewaczkę. Gdy przyszła kolej na występ Paganiniego, podszedł na przód estrady i powiedział do publiczności, która w napięciu czekała na jego grę:

— Teraz usłyszycie państwo głosy osób, które przed chwilą gwizdały.

Genialny skrzypek zaczął naśladować z nadzwyczajną dokładnością ryk osła.

Po tym jego wystąpieniu koncert się skończył, ponieważ Paganini musiał uciec przed gniewem tłumu, który z wściekłością rzucił się na estradę. (B)

Co nowego w Biskupinie

(Dokończenie ze str. 3)
część grodziszca, zgromadzone wiele uratowanych lub na nowo wykopanych eksponatów, stanowiących dziś treść Muzeum Biskupińskiego.

Dzisiaj badania prowadzone są systematycznie dalej. W bieżącym roku odkryto na wzgórku i na gruzach starego grodziszca nowe ślady budowli z późniejszego okresu historycznego. Po rozkopaniu ukazały się uczone szczątki warownego gródka z czasów Mieszka I. Fakt ten ustalono na podstawie znalezionych w tym samym miejscu narzędzi wojennych i rolniczych. W okolicy gródka w promieniu mniej więcej kilometra do dwóch, odkryto cztery osady rolnicze z tego samego okresu oraz jedną osadę rybacką po przeciwnej stronie jeziora.

Ze znalezionych tam szczątków archeolodzy wysnuwają taki wniosek — hipotezę: gródek był warowny, mieszkali w nim rycerze z jakimiś władzami na czele. Osady okoliczne musiały stanowić zaplecze rolnicze — zaopatrzeniowe. W razie napaści nieprzyjaciela ściągano prawdopodobnie do gródka całą ludność osad wraz z inwentarzem.

Biskupin, obok znaczenia historycznego, świadczącego o polskości tych ziem, ma również znaczenie praktyczne. Oto co roku podczas dwumiesięcznych wakacji kształcą się tu praktycznie dziesiątki studentów archeologii i prehistorii. I w tym roku była ich tu setka w dwumiesięcznych turnusach z dr. Rajewskim na czele.

Na półwyspie zbudowano schludne baraki na mieszkania dla studentów i dla stałej załogi. Baraki te łącznie z rekonstrukcją starego osiedla i wieżą obserwacyjną czynią wrażenie osiedla i stąd słusznie na mapie okolicy znalazła się przy czerwonym koleczku nowa nazwa: Biskupin — Wykopalska.

Kazimierz JAŻWIECKI



Historia bez słów

WIRUS

Traszk

PEWNEMU

I kurek z wieży ci nie rad.
Przynajmniej wierzy w jedno — w wiatr.

WESTCHNIENIE

O paragrafie, paragrafie!
Czemu cię zgłębić nie potrafisz!!

ONI

Ktoś się topił w kipieli.
Szczęściem — w pewnej chwili
przyszli ludzie. Stanęli.
I głębokość zmierzli.

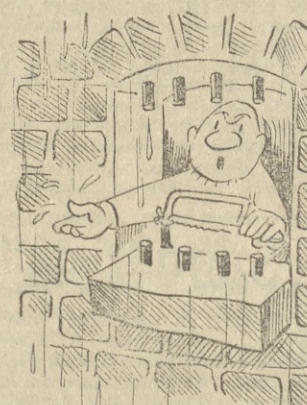
HIGIENA

Ręka rękę myje,
częściej niżli szyję!!

Coś dla mężczyzn



Piękny pulower męski z grubej, szarej wełny. Można go nosić pod wiatrówkę lub do biura bez marynarki. Na jego wykonanie potrzeba 1 kg wełny dość grubej. Ściągacz golf robione są tym samym ściągaczem, obojętnie zaś pończoszniczym. Małe kieszonki dopieniają całości.



— Co za pech! Deszcz pada...



Chrzest



„Złota rybka”:
— Wypuść mnie staruszkę
w morze!

Wg J. Czerepanowa



— Pozostanę tu jeszcze chwilę!
Tam na górze pada deszcz.
(Avanguardia)